Nr. 6. Lwów, 1. kwietnia 1897 r. Wydawnictwa Rok XX.

GONIEC i ISKRA

Czasopismo perjodyczne.

Numer pojedyńczy **20** ct. w.a .

„Wesoły Kurjerek“ dla nieprenumeratorów 10 ct. w. a. — Osobne dodatki dla nieprenumeratorów 10 ct. w. a.

Goniec i Iskra wychodzi: 15. i 1. każdego miesiąca. Wszyscy prenumeratorowie **Gońca i Iskry** otrzymują zupełnie *bezpłatnie* drugie osobne pismo humorystyczne *illustrowane* p. t. **Wesoły Kurjerek,** wychodzące dwa razy na miesiąc: 8. i 23., oraz **bezpłatne premie.** Prenumerata na **Gońca i Iskrę** wraz z osobnym **Wesołym Kurjerkiem i premiami** wynosi, tak w miejscu, jak i na prowincji kwartalnie 2 złr. półrocznie 4 złr., rocznie 8 złr. **Wesoły Kurjerek** dla nieprenumeratorów »Gońca i Iskry«. kosztuje **10 ct. w. a.**; tak samo *dodatki.* W Poznańskiem i w Niemczech: 16 marek rocznie, we Francji i innych krajach. oraz w Ameryce północnej 20 frank. (4 dol.); rocznie w Ameryce południ., w Brazylji, Australji i innych częściach świata 25 franków — stosunkowo na kwartał i pół roku. Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za miejsce jego. Nadesłane po 25 ct. od wiersza. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy. Za granicą ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń. Prenumeratę i wszelkie należytości przesełać najdogodniej przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych, albo pieniężnych. **Do Administracyi Gońca i Iskry we Lwowie, ul. Kraszewskiego l. 23.** Z Ameryki i z Brazylii najdogodniej przesełać prenumeratę dolarami papierowymi lub milrejsami *w listach rekomendowanych*, albo także przekazem pocztowym. — Listy powinny być frankowane. — Numera odnoszą się zawsze do mieszkania każdego prenumeratora.

Właściciel i naczelny redaktor: **M. Dzikowski-Chamski.**

Po wyborach.

Odbyte wybory do rady państwa pozostawiły wiele nauki na przyszłość, ale też i wiele rozczarowania.

Lwów i Kraków spisały się, akurat, jak Grabski w tańcu — bardziej niezręcznej, niedołężnej i macającej roboty wyborczej, jaka się odbywała w tych dwóch miasiach, trudno sobie wyobrazić...

Samo postawienie kandydatów ze Lwowa i Krakowa dowodziło, jeżeli nie zupełnego zaniku, to twardego zaśnięcia zmysłu politycznego.

Dlaczego, na jakich podstawach, z jakiej racji przypuszczano, choćby na chwilę, że p. Mochnacki były prezydent Lwowa, a książę Poniński radca skarbowy w Krakowie, mogą zwyciężyć w *piątej* kurji jakichkolwiek kandydatów — tego, chyba nikt objaśnić nie zdoła.

Stało się źle i w ogóle, tę *piątą* kurję lekceważono i zupełnie bezpodstawnie wyobrażono sobie, iż się ma na nią wpływ. Rząd nie wiedział, jak się brać do niej, a inteligencja przeceniała swoje znaczenie — jedni tylko socjaliści zrozumieli sytuację, opanowali ją i z pomocą żydów, którzy z tej wierzby będą mieli kwaśne i gorzkie gruszki, zwyciężyli.

Nie wiele z tego, co prawda, w przyszłości przyjdzie socjalistom — ale żydzi wyjdą na tem, jak Zabłocki na mydle... Akcje antisemityzmu poszły w górę o sto procent, a w naszem społeczeństwie żydzi spulchniają i uprawiają grunt pod niego...

Niechże potem nie narzekają na nienawiść rasową, skoro podsycają ją sami i podkopują etyczne zasady społeczeństwa, w którem żyją i żyć muszą...

Teraz »gada się«, bo inaczej tego nazwać nie można, o porażce stronnictwa ludowego dlatego, że zdołało przeprowadzić tylko trzech posłów — i zdaje się robiącym politykę, że stronnictwo rozchwiało się, a przynajmniej tak osłabło, że się ruszać nie może. A to wszystko nieprawda. Ruch ludowy jest silny, zdrowy, niezarażony socjalizmem, a »krajowi politycy« powinni brać w nim udział pośredni, czy bezpośredni i wypierać, lub przynajmniej osłabiać działalność tych, którzy są złymi duchami tego ruchu. Czy do Koła polskiego będzie należeć o paru członków mniej, lub więcej, to Koło zawsze będzie bardzo po ważnem ciałem narodowem w parlamencie austrjackim, bez którego nic się nie zrobi, ani w państwie, ani w kraju naszym. Dwóch socjalistów i tych kilku stojałoszczyków na kierunek polityki naszej polskiej najmniejszego nie mogą wywrzeć wpływu, a działalność ich w kraju, wśród niższych warstw społeczeństwa, powinna się spotkać z dobrze obmyślaną, szeroką i szczerą działalnością, zorganizowaną, warstw zdrowych i patrjotycznych. Nie trzeba też w zachodniej Galicji bagatelizować ruchu ludowego i drażnić niepotrzebnie, bo on jest największym hamulcem dla socjalizmu. Działalność Stojałowskiego uważamy za przelotną, krótkotrwałą, politycznie nie uchwytną i mimo pewnej energji, a właściwie szamotania się, chorobliwą.

Socjalizm, w ogóle, znajduje się obecnie w perjodzie reformatorskim; z wielu bardzo naleciałości zacznie się oczyszczać i prostować. U nas jest wstrętny dlatego, że głównym jego motywem, jest nienawiść, a argumentem decydującym o wszystkiem — naładowany brzuch. Mimo pewnych sukcesów, odniesionych przez socjalizm z powodu wyboru z 5-ej kurji — odczucie go w naszych kołach społeczeństwa — jest absolutnie *bezwiedne*, a ruch umysłów wywołany, niemal, mechaniczny. Zdrowe ręce, ciepłe serca i mądre głowy powinny uświadamiać, z ruchu korzystać i powoli, a systematycznie kierować go w inną stronę...

„POHANA DEBRA“.

Powieść z życia hucułów

napisał

T. Czesław Łukawski.

(Ciąg dalszy Patrz Nr. 5 ty).

— Jaga! — wrzasnął Maksym. — Milcz psiawiaro! — i silną pięścią pochwycił starą za barki, trząsąc nią z dziką złością i przywalając na ziemię.

Naprożno Jaga wiła się jak żmija w silnym uścisku górala.

— Bodajś szczezł, przeklęty! — syknęła — Puść! puść!

— Dobiję cię szpiegu, wiedźmo nocna, — huknął pobereźnik i z nową wściekłością rzucił się na znachorkę.

Jaga szamocząc się zaciekle, zachrypała:

— Puść, mówię ci! Nie szpiegowałam. Szłam za dziewczyną z Pohanej debry.

Maksym na te słowa zatrząsł się, jak pod ukłuciem żmii i puścił z rąk ofiarę. Twarz jego pokryła trupia bladość, a wargi drgały mu konwulsyjnie.

— Czegoś szła za nią, mów! — spytał groźnie.

Jaga czując się wolną z uścisków żelaznych górala, zatrzepotała sobą jak sowa, gdy umknie ze szponów kani i odparła tajemniczo:

— Chodź w chaszcze wądału! Przejdziemy Wilczym jarem do wsi. Droga o połowę krótsza. Ulewa ustanie.

Maksym nie rzekł słowa, lecz ukrywszy strzelbę pod gunię, nasunął mocniej kapelusz i ruszył za prowodyrką głębokim jarem.

Droga szła kręto między ściśnięte skaliste brzegi, zarosłe starymi świerkami, których rozsochate konary, splatając się z sobą, tworzyły nad nią rodzaj gęstego nakrycia, chroniącego ich przed deszczem. Czasami tylko, gdy wiatr zawył dziko, gałęzie skrzypiały żałośnie, strząsając z siebie grad kropel deszczowych na ścieżkę. Ciemność panowała głęboka i przeciąg jakiś przeraźliwy w wąwozie.

Oboje szli milcząco.

Jaga szła na przedzie i knuła coś w umyśle, wydając co chwila jakieś rychotanie ochrypłe, niby śmiech puszczyka, to znów szemrała urywane słowa, które szum wichru zagłuszał. Z nagła stanęła, jakby jakąś myślą tknięta, usta jej wykrzywił ból konwulsyjny.

Chwyciła rękę Maksyma.

— Maksymie, czyś zabił dziewczynę?

Pobereźnik osłupiał. Nie pojmował widno zapytania.

— Ha! ha! dziewczynę! — zaśmiał się sucho. — Dziewczynę?

I śmiech na poły dziki i na poły cierpki rozległ się w wądole.

— Więc Daniłę? — jękła.

— Tak! Ręka moja nie chybiła. Widziałem jak upadł.

I wstrząsnął się pobereźnik na to wspomnienie, otulając się mocniej gunią.

Wiatr ze świstem zadął w wąwozie.

Jaga pogrążyła się w zadumę i szemrała z cicha:

— Dziewczyna żyje... a on Daniłę... Daniłę zabił...

Na skręcie jaru stanęła.

— I cóż ci zawinił przybłęda? — spytała drżącym jakoś boleśnie głosem.

— Co mi zawinił? — odparł Maksym głucho. — Ty nie wiesz? Chodź, chodź, powiem ci w chacie. Zimno, że mię mróz przechodzi.

— Stój Maksymie! — zawołała Jaga. — Idź jarem do mej chaty i czekaj, aż przyjdę. Zajrzę na debrę...

W jednej chwili chwycił pobereżnik kościstą rękę znachorki, w drugiej podniósł groźnie strzelbę do góry.

— Nie pójdziesz! — wrzasnął — Giń przeklęta maro, kiedy mnie chcesz zdradzać!

Lecz Jaga jak rozwścieczona rysica wyrwała się z ujęcia górala i odskoczyła pod ścianę jaru. W ręku jej błysnął nóż w ciemności.

— Stój, pohany! Bronić się umiem!

— Jago! — zagrzmiał powtórnie Maksym.

— Idź do mej chaty, mówię ci i czekaj aż przyjdę. Nie zdradzam swych przyjaciół.

Maksym nie poruszył się, patrzał na nią kiwając głową, aż mu znikła z oczu w czarnym wądale.

— Przeklęta czarownica, — mruknął. — Czy rozum straciła? Co ją tak porwało teraz na debrę?

I zadumał się głęboko, szukając w myśli odpowiedzi, po chwili znów powiódł ręką po czole, jakby chciał odegnać dręczącą go zmorę.

— Głupiś Maksymie. Roi ci się w głowie. Jaga nie zdradzi. Pójdę, poczekam na nią. Ha, ha, ha, ha, ta Jaga!...

I z szalonym chichotem ruszył naprzód Wilczym jarem. Niebawem rozstępywał się parów i Maksym wyszedł na wygony wiejskie. Deszcz ustał. Wiatr rozgonił czarne chmury, na wschodzie widniały już jaśniejsze smugi i plamy. Szare strzechy chat wiejskich, wyłaniały się ledwie widocznie z posępnej, ciemnej pomroki. Pobereżnik zwrócił się teraz brzegiem lasu, pozostawiając wieś i warczący strumień za sobą i stanął niebawem przed obszarpaną, nędzną lepianką, która wsunięta w głąb szerokiej rozpadliny, kryła się w niej niemal cała, jakby się wstydziła stać na widoku. Po za nią rysowały się głębokie rozdoły, na prawo zaś ponury, nagi »Kryworoh«, najeżony na bokach szczerbami.

Lepianka, pochylona ze starości mchem obetkana, z jednej strony podparta mnogimi dylami, przytykała w zapleczu do ogromnej kupy kamieni, niby po zapadłym piecu, zarosłej bujnymi chwastami. Z poczerniałego poszycia sterczał komin dziwnie wysoki, sklecony z kory jodłowej, nadając jej przez to odrębną od innych chat góralskich fizjonomię.

Była to siedziba Jagi.

Jakkolwiek dość odległa od wsi i leżąca w ustroniu istotnie dzikiem, mogącem nawet napełnić nocą strachem przechodnia, zwłaszcza zabobonnego górala, nie była jednak snać tak bardzo omijana przez ludzi, bo biegły od niej dwie dość dobrze wydeptane ścieżki, jedna przez wygony do wsi, druga węższa, brzegiem lasu do Wilczego jaru.

I rzeczywiście ludzie tutejsi, a nawet z okolicznych stron udawali się tu często w potrzebie. Jaga miała bowiem szeroką sławę lekarską, znała się na leczeniu bydła, i w niejednym już wypadku umiała zaradzić najuporczywszej ludzkiej chorobie. Zawsze chętna i skora na ratunek każdemu, ktokolwiek się udał do niej, choćby nawet o północy, osłaniała się przytem wielką tajemnicą, co jej tylko w grubym zmroku przesądów i zabobonów, jaki panuje w górach, szerszego dodawało rozgłosu.

O ile wszakże w potrzebie wszyscy do niej się uciekali, o tyle stronili od znachorki w życiu codziennem, omijając jej chatę, a nawet Wilczy jar, do którego droga wiodła opodal jej siedziby.

Górale posądzali ją, co zawsze w parze idzie, o nieczyste związki z duchami, przypisywali jej nadnaturalne jakieś własności, nazywali czarownicą, mającą moc zaklętą, biegłą w praktykach piekielnych, a co najmniej mogącą siać uroki, gdzie zechce. (C. d. n).

Ciekawe rzeczy.

* *Długowieczność.* Na całej kuli ziemskiej wykazuje statystyka ludzi długo żyjących, że kobiety mają tu stanowczo wyższość. Łatwo sobie tę wyższość wytłomaczyć. Kobiety nie uprawiają zawodów niebezpiecznych żołnierza i marynarza; nie są zmuszone dla zarobku łazić po dachach, jak blacharze; zwyczaje powszechnie przyjęte, a nawet środki prawodawcze wzbraniają piękniejszej połowie rodu ludzkiego profesyj, zagrażających życiu. Więc też kobiety zawsze dostarczają mniej ofiar niebezpieczeństwa współczesnego przemysłu i w ogóle są mniej narażone na śmierć z powodu wypadków niespodzianych i na niebezpieczne wyziewy w kopalniach i fabrykach, które skracają życie. W ogóle kobiety umieją się powstrzymywać od wszelkiego rodzaju nadużyć, skracających życie ludzkie. Obserwują ściśle punktualność w zwyczajach swej egzystencji materjalnej, a przedewszystkiem mniej niż mężczyźni oddają się alkoholowi. Oto statystyka długowieczności: W Stanach Zjednoczonych było w r. 1890 osób, które przeżyły więcej, niż lat sto, 2583 kobiet i 1398 mężczyzn W r. 1895 żyło we Francji 66 mężczyzn i 147 kobiet stuletnich. W Anglii zaś dosięgających stu lat życia, jest obecnie 16 kobiet i 5 mężczyzn. Statystyka ta niekoniecznie zasługuje na wiarę. W braku ścisłych danych, można się sprzeczać o kontyngens stuletnich starców, jakiego obie płci są w stanie dostarczyć, nie ulega jednak wątpliwości, iż kobieta ma dwa, lub trzy razy więcej szans życia lat sto, niż mężczyzna.

* *Długowieczność ptaków.* Londyńskie „Echo“ donosi, iż pewien obywatel z Hampshiere utracił w tych dniach kruka, który od stu lat w jego rodzinie się znajdował i był jeszcze faworytem jego dziadka. W Shelborne jest dąb, gdzie już od lat 90 gnieździ się ta sama para kruków. Na Tamizie pływają 150-letnie łabędzie.

Teatr — koncerta — widowiska.

Operetka. Przybył nowy tenor — jest nim p. Malawski, który, jak nas objaśniono porzucił medycynę, podobno piąty już kurs i... machnął do operetki... Namiętne lwowianki dopatrują się w tem motywu romansowego — a my, z powodu panujących tendencyj poliglotycznych wśród naszych śpiewaków, byliśmy przygotowani na to, że p. Malawski w *Sprzedanej narzeczonej* zaśpiewa Janka po łacinie... I nie byłoby w tem nic dziwnego — skoro doktorand musi się przeuczać partji na inny język i na całe życie... Jaką szkodę poniesie medycyna tracąc p. Malawskiego — nie wiemy — ale operetka nasza pozyskała w nim dzielnego tenora o głosie silnym, przyjemnym i bardzo podatnym. — Jest to tenor na tle barytonowem, a więc o szerszym wokalnym podkładzie, przyczem posiada uczucie i zdrowy temperament. Gra aktorska pozostawia bardzo wiele do życzenia — ale to rzecz do nabycia. — Debiutant śpiewał po raz pierwszy na scenie i trząsł się ze strachu... To dobrze. Arogancja nie jest kwalifikacją na artystę. Lęk nieokreślony kołacze się w piersiach i wstrząsa tylko takimi organizmami, w których mieszka prawdziwy talent...

Lwów, a raczej szanowna jego publiczność spisała się. Teatr nasz obchodził pamiątkę setnej rocznicy urodzin Józefa Korzeniowskiego, który, jak wiadomo, urodził się pod Brodami d. 19. marca sto lat temu. Dawano *Okno na pierwszem piętrze* i *Okrężne*. Grano dzielnie, śpiewano ładnie, tańczono dziarsko, tylko... nie było tego wszystkiego robić dla kogo, bo szanownej publiczności nie starczyło może i na dwieście reńskich... Niema co gadać i rozprawiać o subtelnem podniebieniu lwowskich „obywateli“, dla których jedynym argumentem kiełbasa i... operetka.

Opera. Po tryumfalnych występach pana Bandrowskiego, nastąpił szereg gościnnych występów na naszej scenie panny Heller. Repertuar tej śpiewaczki jest bardzo obszerny, a pod względem wokalnym różnorodny i w tem może leży pewna nierówność, co do artystycznego wykonania partyj i używania głosu niezawsze zgodnego z jego naturą i właściwościami. Z tem wszystkiem, panna Heller zajmuje pierwszorzędne stanowisko śpiewaczki i szkoda tylko, że piękny jej mezzo-sopran nie zawsze jest odpowiednio używany. Występy panny Heller cieszyły się pełnem kasowem powodzeniem i oklaskiwano śpiewaczkę z zapałem. Panna Heller śpiewała po włosku, po francusku i trochę po polsku.

Wogóle, z tą galicyjską włoszczyzną należałoby już raz skończyć. Taka np. panna Korolewicz — racja fizyka, Kaśka butów niema — dalejże wychuchiwać Lolę włoszczyzną przypominającą cielęcinę. Panna Korolewicz powróciła z Zakopanego z występów gościnnych u dr. Chramca i tam się widocznie zwłoszczyła...

Zachowanie się publiczności na przedstawieniach *Mignon* w obec włoszczyzny panny Korolewicz i w ogóle tych włoskich selerów, może będzie stanowiło nauczkę na przyszłość i przestrogę dla utalentowanej, zresztą, śpiewaczki, aby, posiadając ładny i przyjemny głos, nie psuła sobie karjery, nie narażała się na śmieszność i nie słuchała rad niemądrych... Co do p. Myszugi, to sprawa języka, w jakim ma śpiewać, powinna się brać po kupiecku. Oczywiście, wolno p. Myszudze, który, ostatecznie, sam nie wie skąd się wziął na świecie, wolno mu uczyć się partyj po rosyjsku, jak to, zresztą, robi, ale na scenie lwowskiej płacić mu się tylko powinno za śpiewanie po polsku. Chimery lingwistyczne p. Myszugi poddadzą się monecie z pewnością. Panu Myszudze wszystko jedno, czy Bogu, czy djabłu świeczkę zapalić — idzie mu tylko o to, aby nie palić dwóch świeczek... Pan Myszuga oprócz Kijowa i Lwowa, nigdzie nie śpiewa. Niech nie grozi Europą, bo... wiedzą sąsiedzi, dlaczego p. Myszuga we Lwowie siedzi...

Z naciskiem musimy zaznaczyć, że dyrekcja teatru bezsilną jest w obec tych bzików lingwistycznych i, że śpiewacy bardzo często wyzyskują nieszlachetnie sytuację, wywierając presję na dyrekcję, która na przyszłość powinna obwarunkować się kontraktem tembardziej, że niezawodnie wypłata subwencji na operę w pewnej części zależeć będzie i od tego, czy śpiewacy polscy śpiewają po polsku, czy nie. W tym kierunku zwrócono już uwagę. Dla cudzoziemców artystów, językowa swoboda powinna być posunięta, jak najdalej — ale śpiewacy polscy mniejsi, czy więksi, a nawet najwięksi, śpiewać powinni na polskiej scenie tylko po polsku. Przykład dał, takiej miary i sławy artysta, jak p. Bandrowski.

Tłomaczenie się panny Korolewicz, że jest *aż* na trzy lata zaangażowaną, więc musi się uczyć po włosku, jest śmieszne i... mija się z prawdą... Jeśli się ma haftować, to przynajmniej, zręcznie...

Opinia publiczna nie wchodzi w marną, zresztą, trudność przeuczenia się partyj z jednego języka na drugi, lecz wymaga i ma prawo wymagać odrobiny solidarności narodowej, która jest najtrwalszym klejnotem w dyademie, choćby największej sławy, stanowiąc zarazem rys piękny i szlachetny, a daje też świadectwo rozumnego taktu i subtelnego uczucia, zdobiącego zawsze wartko bijące serca myślących artystów.

Z uznaniem podnieść musimy prawdziwy talent tenora, p. Jarońskiego, który z powodu nagłej słabości p. Myszugi zastąpił go prawie bez próby w *Faworycie*, śpiewając trudną partję Fernanda poprawnie, równo i z niezwykłem poczuciem artyzmu i muzykalności. Pan Jaroński, mimo, że od natury rozporządza głosem niewielkim, dowiódł, że jest artystą w każdym calu, a śpiewakiem pożytecznym dla każdej wielkiej opery. *Bis.*

O rozpoczętych gościnnych występach europejskiego dziś tenora, śpiewającego stale w Pradze: p. Florjańskiego i tyle sympatycznej i utalentowanej prima-donny p. Pawlików - Nowakowskiej, napiszemy obszerniej w przyszłym numerze.

Pożyteczne i praktyczne wiadomości.

Bawełnę z drzewa sosnowego wyrabiają teraz na dobre w Ameryce. Wyrób tej sztucznej bawełny odbywa się w sposób następujący: Suche drzewo sosnowe tnie się na bardzo cienkie wióry, które następnie w odpowiednich naczyniach wystawione są na 10-godzinne działanie pary. Następnie nalewa się na nie ługu z natrium i gotuje przez 36 godzin. Przez to zamieniają się wióry na czystą celulozę, a więc na składnik, z którego składa się także bawełna. Aby nadać jej większej trwałości i giętkości, dodaje się do tej masy następnie olej rycynusowy, kazeinę i żelatynę, poczem wytłacza się z niej nitki, które wędrują wprost do przędzalni. Po dokonaniu całej roboty, nie różni się taka sztuczna bawełna niczem od naturalnej, a jest znacznie tańszą.

Kto się oparzy, niechaj używa proszku wismutu, lub bandaży wismutem napojonych, jakie w handlach drogeryjnych, lub w aptekach sprzedają. Jedno obandażowanie wystarczy do zagojenia rany. Środek ten lekarski jest z przepisu dr. Berdelebena i polecany przezeń w „Niem. tygodniku lekarskim“. Niestosownie czynią ci, którzy oparzone części ciała maczają w wodzie. W pierwszej chwili należy je oblać okowitą.

Stemple kauczukowe twardnieją po pewnym czasie wskutek tłustości, zawartej w farbie. Farba ta ma w swym składzie dużo podobieństwa do farby drukarskiej. Kauczuk nasiąka tłustością, która po stężeniu i zaschnięciu na powietrzu, czyni go kruchym i twardym; odbitki daje taki kauczuk niewyraźne. Łatwo jest złemu zaradzić. Należy zwilżyć stempel kilka razy, ale zawsze nadzwyczaj lekko, terpentyną lub naftą, bacząc, aby płyny te były doskonale oczyszczone, a roczyn części tłustych następuje bezwłocznie. Po kilkurazowem powtórzeniu tej procedury, stempel jest oczyszczony znakomicie. Ten sam skutek wywiera benzyna, używana do wywabiania plam. — Kauczuk rozpuszcza się w benzynie bardzo łatwo, dlatego też nie powinien się z nią, a zwłaszcza z większą jej ilością przez dłuższy czas stykać, gdyż inaczej mógłby stempel rozpłynąć. Stemple metalowe odczyszcza się na poczekaniu przez nagrzanie ich nieco nad ogniem i potarcie następnie przez stearynową świecę.

Mleko w stanie twardym, jak donosi „Scientific American“, przyrządzają obecnie w Ameryce według nowej metody, polegającej w części na tem iż suszenie mleka odbywa się z pomocą zimna. Naprzód mleko zamrażają przy nieustannem kręceniu (jak przy robocie lodów), następnie w centryfudze kryształki lodu odzielają się od części, zewierających wszystkie spożywcze pierwiastki mleka. Te ostatnie przepuszczają następnie przez powierzchnię cylindra, ochłodzonego do 28 stopni, następnie umieszczają w naczyniu napełnionem kwasem węglowym, gdzie suszą je przy temperaturze 28 stop., potem znów ochładzają do zera, w tej temperaturze trą na proszek, zamykają hermetycznie i tak przyrządzone mleko wysyłają na sprzedaż.

Nasz ruch handlowy i przemysłowy.

+ W kawiarnianym przemyśle nie tak łatwo wyrobić sobie dobrą opinję. Oprócz pieniędzy, potrzeba kapitału mozolnej, codziennej pracy i rzetelności. Pan Józef Erlich, właściciel kawiarni teatralnej i *grand*, zasłużył sobie na taką opinję. Spory szereg lat złożył się na uczciwe i solidne stanowisko, jakie p. Erlich zajmuje w naszym przemyśle. Ale p. Erlich w szerokich kołach obywatelskich posiada również szacunek i uznanie — świadczy on, bowiem, dużo dobrego i w sumieniu swojem poczuwa się do obowiązku względem tych, co mają mniej, co cierpią i którym życie przynosi smutek i zawody... Przy rozpoczęciu sezonu teatralnego p. Erlich otworzył na dole wygodny bufet teatralny — dowiadujemy się, że z wiosną bufet ten powiększony i przekształcony zostanie dla wyłącznej wygody tych wszystkich, co z teatrem mają bliższe i ciągłe stosunki.

Duszą zakładu p. Erlicha, jest jego... małżonka, pełna uprzejmości, taktu i odznaczającą się wykwintnem wychowaniem — duszą zamieszkałą w pięknem i powabnem ciele, co, oczywiście, tem wygodniej dla... duszy...

+ Wszyscy odczuwają rzeczywistą potrzebę dla Lwowa zakładu zastawniczego na wielką skalę, ale nie na złoto, srebro i kosztowności, lecz na wszystko — jednem słowem *lombardu*. Mówią o takim miejskim zakładzie, ale u nas najwięcej kończy się na mówieniu. Tymczasem, istniejący m mieście naszem mały zakładzik prywatny na srebro i złoto przy ulicy Czarneckiego l. 1., w sposób niejasny ogłasza w inseratach, że ma rozszerzyć swoją działalność i zamienić się na akcyjne towarzystwo. O ile wyrozumieć można z ogłoszenia tego zakładu, to finansowanie akcyj, jest już na ukończeniu, bo zakład wyraźnie ogłasza, że „na pozostałą część akcyj można zapisać się w biurze zakładu, lub w kantorze bankierskim pp. Schellenberga i Kraysera“. Skoro jest „pozostała część“, to czynność z temi akcjami musiała się już dawniej rozpocząć — ale o tem wiedzą tylko biuro zakładu i pp. Schellenberg i Krayser — publiczność, bowiem, o tem akcyjnem towarzystwie nic nie wie, chociaż ono opersuje już z „pozostałą częścią akcyj“.

Nie możemy zrozumieć takiej enigmatyczności w sprawach, w których bądź, co bądź, zaangażowane są interesa naszej publiczności i która ma prawo wiedzieć, jakie to jest towarzystwo, kto stoi na jego czele, o jakie się opiera kapitały i jaka to jest „rozszerzona działalność?“ Jasność taka i wyraźne stanowisko przedsiębiorstwa tembardziej powinny być przestrzegane, że mamy pod tym względem smutną przeszłość z bankiem zastawniczym polskim, z takimże zakładem kryłoszańkim, z towarzystwem pożyczkowem w rynku i wałowej ulicy — zakładami, które szerszą publiczność, garnącą się z zaufaniem, przyprawiły o ciężkie straty dziś jeszcze nie przebolałe — a wielu nawet zrujnowały.

Bogiem a prawdą, ani miastu, ani okolicy przedsiębiorstw pożyczkowych na zastaw srebra, złota i kosztowności zupełnie nie potrzeba — wystarczą aż nadto te oddziały, które istnieją przy bankach: galicyjskim kredytowym i hypotecznym — oddziały te prowadzone są prawidłowo, rzetelnie i dają wszelką i najzupełniejsza gwarancję. Zakład zastawniczy np. przy ulicy Czarneckiego, daje tylko pożyczki na złoto, srebro i kosztowności, i udziela pożyczki, wogóle, niższe, aniżeli oddziały zastawnicze przy wyżej wspomnianych bankach. Ani więc nie jest to zakład konkurencyjny, ani nie zaspokaja rzeczywistej potrzeby publicznej — bo ekonomiczne, bankowe, przemysłowe i różnorodne stosunki naszego miasta, wymagają założenia *lombardu* powszechnego, na wzór takich, jakie są w dużych miastach Europy.

Ta zaś *nowość*, którą zakład przy ulicy Czarneckiego wysuwa ostentacyjnie, jako *reformę*, mianowicie „osobny przedział“, w którym jest „zastawiający nie żenowany otoczeniem“, przypomina nie tyle zakłady finansowe, ile osobne pokoje „z dyskrecją“ u *sages femmes*...

Od Redakcji i Administracji.

Z. B. J. Zamieścimy, ale później.

D. w Paryżu. W „Café de la Regence“.

Pan Kolba w Chicago. Żądający przesłania pism na kredyt do Ameryki, wyprowadzają nas zwykle w pole i puszczają, jak mówią w Warszawie, kantem.

Panna Bibi. Takie wiersze się rymują, ale nie drukują.

Z pocałowaniem ręki. Pseudonim za długi, artykuł jeszcze dłuższy, a rzecz w nim najnudniejsza — nie widziana.

Rożek. Do „Kurjerka“.

Autorom wierszy. „Do kwiatka“ i „Śnieg zni ka“ — utwory panów drukowane nie będą.

Pan Moliński piekarz w Żywcu. Za zaległą prenumeratę, należy się od pana 5 zł. 30 ct.

Nadesłane.

W krajowym naszym przemyśle w ostatnich czasach, można rzeczywiście zauważyć znaczny postęp. Pomału, ale bezustannie wypieramy zagraniczne wyroby. Do takich pożytecznych pionierów polskiego przemysłu, zaliczyć należy fabrykę mydła braci Fridrichów we Lwowie. Tak nazwane mydła toaletowe pachnące, sprowadzane do nas były wyłącznie z zagranicy. Od pewnego czasu fabryka mydła braci Fridrichów zaczęła właśnie takie mydła wyrabiać i okazało się w krótkim czasie, że nietylko nie są one gorsze od zagranicznych, ale z zaletami pod względem zmywania brudu, delikatnością wyrobu, zdrowotnością składników i różnorodnym zapachem, przewyższają o wiele zagraniczne fabrykaty, które też mają i tę wadę, że bez porównania są droższe. Toaletowe mydła Fridrichów, coraz szersze zdobywają sobie uznanie i zbyt mają coraz większy. Żądać się ich powinno we wszystkich sklepach, a panowie fryzjerzy, we własnym swoim interesie, powinni być energicznymi pośrednikami w sprzedaży mydeł z fabryki braci Fridrichów.

Oprócz tego, fabryka braci Fridrichów wyrabia znakomite mydło do prania bielizny — niezawodnie najlepsze ze wszystkich fabryk, a odznaczające się jeszcze tem, że z powodu zawartych w niem składników, nie wywiera złego wpływu na tkankę płótna, a więc nie niszczy bielizny.

Fabryka mydła braci Fridrichów, w pełnym rozwoju i przy zastosowaniu najnowszych aparatów, znajduje się na ulicy Koralnickiej, sklep zaś przy ulicy Krakowskiej l. 13, zaopatrzony obficie we wszystko, co obejmuje przemysł fabryczny mydlarski, a więc również w świece kościelne, krochmal, stoczki itp. (6819—1)

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego.